

Ania PROSI o wywiad



Dziś Ania zaprasza Was na spotkanie z niezwykłym człowiekiem – o. Marianem Żelazkiem – misjonarzem, który od 55. lat zajmuje się chorymi na trąd. Ludźmi odtrąconymi i pogardzanymi przez wszystkich. Pomaga im dźwigać ten straszny ciężar choroby. Szczególną opieką otacza też dzieci.

Czy Ojciec jako dziecko myślał o misjach?

Prawdę mówiąc, nie myślałem.... Misje kojarzyły mi się raczej z bajką, z jakąś egzotyką, a misjonarza wyobrażałem sobie jako brodatego człowieka na koniu. Co innego było już z kapłaństwem...

No właśnie, jak było z powołaniem?

Księdzem chciałem być od zawsze. Już jako mały chłopiec „święciłem” wodą różne rzeczy i odprawiałem Msze. Nie oznaczało to jednak, że byłem najgrzeczniejszy spośród moich braci. Pewien węgierski pisarz napisał o powołaniu, że jeśli Pan Jezus kogoś ucałuje w czoło i powie „Pójdź za mną”, to już żadna siła nie odwiedzie go od tego. On wybiera sobie kogo chce – to taka Jego tajemnica. I mnie wybrał...

A dlaczego wstąpił Ojciec do księży werbistów? W rodzinnej parafii w Poznaniu byli przecież księża zmarłychwstańcy...

Masz rację... W mojej parafii byli księża zmarłychwstańcy. Często jednak zapraszali misjonarzy. Kiedy byłem w gimnazjum, przyjechał do naszej parafii werbista, który był na misjach w Argentynie. W zakrystii zostawił różne czasopisma. To z nich wyczytałem, że jeśli ktoś pragnie zostać misjonarzem, może zgłosić się do miejscowości Górna Grupa. Złożyłem więc podanie i wszystko tak się potoczyło... Po latach ten właśnie misjonarz powiedział mi: „Tak jak córka Faraona znalazła Mojżesza w koszyczku na Nilu, tak ja ciebie znalazłem w zakrystii zmarłychwstańców”.

Doświadczył Ojciec w życiu wiele cierpień, był więźniem m.in. obozu w Dachau, a jednak tyle w Ojcu radości i wdzięczności...

Wszystko zależy, jak się patrzy na cierpienie. Ja czułem, że moje cierpienie może przynieść komuś pożytek. Nawet w Dachau czy w Gusen – tam było najgorsze miejsce, gdzie zginęła większość moich współbraci – było to moja

myślą przewodnią. Te doświadczenia z obozu pomogły mi później w pracy misyjnej w Indiach.

Dlaczego Ojciec wybrał pracę wśród trędowatych?

Wejście misjonarza do kolonii chorych na trąd ludzi, którzy są odrzuceni przez innych, to jakby wejście ogrodnika do ogrodu. Nas prowadzi do nich słowa Pana Jezusa: „Cokolwiek uczyniliście tym braciom Moim najmniejszym, Mnieście uczynili”. Działalność misjonarzy wśród trędowatych skupiła wtedy uwagę i szacunek ludzi zdrowych. Inaczej zaczęli patrzeć na Kościół katolicki.

Proszę opowiedzieć o początkach tej pracy.

Kiedy zaczęliśmy odwiedzać kolonię trędowatych, która znajdowała się na peryferiach miasta, znaleźliśmy się na językach całego miasta. „Dlaczego oni tam jeżdżą? Na pewno po to, by nawracać tych nieszczęśliwych ludzi” – mówili między sobą. Musieliśmy udowodnić, że nie wykorzystujemy biedy czy choroby, żeby znaleźć nowych chrześcijan. To naturalne, że każdy misjonarz ma głębokie pragnienie, żeby cały świat poznał Chrystusa. Wszystkich chciałby do Niego przyprowadzić, ale nie podstępem ani przymusem. Nawrócenie dokonuje się w sercu – powoli i w Boży sposób.

Nieśliśmy zatem Chrystusa przez szkołę i pracę charytatywną. Z czasem też stworzyliśmy ośrodek, gdzie mogliśmy szerzyć wartości chrześcijańskie – była to nasza czytelnia, a potem piękny kościółek, zbudowany głównie z ofiar pochodzących z Polski.

Jak wygląda kolonia trędowatych w Puri?

Na początku było to miejsce przekłete, zamknięte, choć nie otoczone żadnymi murami. Nikt tam nie zaglądał, nikt nie pomagał, chorzy nie byli lečení. Ich życie było jednym wielkim cierpieniem. Nasza obecność powoli to zmieniała.

Najpierw zajęliśmy się ranami, które trzeba było opatrzyć, ponieważ nie leczony trąd czyni w or-

ganizmie ogromne spustoszenie. Wybudowaliśmy więc przychodnię, szpital i pracownię ortopedyczną, gdzie sami chorzy robią sobie specjalne obuwie. Z czasem powstały ośrodki rehabilitacyjne, a także przedziałnia, pracownia krawiecka, staw rybny i kurza ferma. Dla tych, którzy nie mogą się sami utrzymać, stworzyliśmy „mercikitchen”, gdzie znajdują wszystko, co jest im niezbędne do życia.

A dzieci? Jakie są dzieci?

Wspaniałe i wdzięczne! Otworzyliśmy dla nich szkołę. W tym roku mamy 590 dzieci (od 1 klasy do 7). Gdyby chora na trąd mama zaprowadziła swoje dziecko do szkoły publicznej, natychmiast zostałoby ono odrzucone przez innych. Żeby uniknąć takich sytuacji, wybudowaliśmy szkołę. Z kolonii trędowatych przychodzi do niej 194 dzieci. Nie ma więc tam dziecka, które nie chodziłoby do szkoły. Jest ona naszą radością. Kiedyś pewien Hindus zapytał mnie, ile mam dzieci (Hindusi zawsze pytają o rodzinę, o dzieci). Odpowiedziałem, że 400. Ze zdziwienia otworzył szeroko oczy. A teraz mam ich już 600!

Czego życzyłby Ojciec polskim dzieciom PDMD?

Chciałbym, żeby ich serduszka otwierały się na Boże wezwania, na misyjne powołania. Misjonarze mają wiele do darowania ludziom, również tu, w Indiach. Wartości chrześcijańskie są tak piękne, że powoli przenikają do ich życia. Hindusi bacznie obserwują zachowanie obcych. Nie zawsze budują się przykładem życia Europejczyków. Z drugiej jednak strony, kiedy np. widzą naszą pracę w kolonii, to bardzo wysoko cenią sobie to świadectwo. Świadectwo życia jest bowiem najważniejsze i to nie tylko na misjach. Inni patrzą na nas i chcą w nas zobaczyć Chrystusa. Życzę sobie i dzieciom PDMD, by zawsze mogli Go w nas dojrzeć.

Dziękuję za rozmowę.